



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



ś. p.

ALEKSANDRA Z CHOMĘTOWSKICH

BORKOWSKA.

Z głębokim smutkiem podzielić się musimy z czytelnikami naszymi żalobną wieścią, która niewątpliwie bolesnem echem odbije się w ich sercach. Po długich i ciężkich cierpieniach, znoszonych z prawdziwie chrześcijańskim poddaniem woli Bożej, opatrzona św. Sakramentami, zgasła w dniu 24 Lutego r. b. w 70-m roku życia ś. p. Aleksandra Borkowska, redaktorka Kroniki Rodzinnej i wieloletnia kierowniczka Wieczorów.

Obszerniejszą wiadomość o pełnem zasługi życiu tej czcigodnej niewiasty, która dziatwę i młodzież miłowała sercem całym, podamy w następnym numerze.

Cześć jej pamięci i wieczny pokój.

Perła Antyllów.

Walka, którą toczą mieszkańcy Kuby już od roku 1895 do obecnej chwili, aby się wyzwolić z pod zwierzchnictwa Hiszpanii, zwróciła ogólną uwagę na tę wyspę, która zasługuje w zupełności na dane jej pochlebne miano „Perły Antyllów”.

Jeszcze gdy w październiku 1492 roku Kolumb w pierwszej swej podróży stanął na tej ziemi, którą omyłkowo wziął zrazu za półwysep indyjski, nazwał ją najpiękniejszym zakątkiem, nad którym słońce świeci, a ludzkie oko oglądać może.

Wprawdzie zachwył taki tłumaczy się poniekąd tem, iż Kolumb nie znał innych podzwrotnikowych miejscowości, jakie z biegiem czasu dopiero stały się dla nas dostępnymi, jednak i w porównaniu z niemi Kuba nic nie traci, a niektóre jej okolice zdumiewająco piękne przedstawiają widoki.

Wąska ta wyspa, przypominająca na mapach kształtem swym wiewiórkę, leży u wejścia do zatoki meksykańskiej w strefie gorącej.

Długość jej wynosi od przylądka Antonio do przylądka Maisi 1200 kilometrów przy bardzo małej stosunkowo, bo nie przekraczającej stu kilometrów szerokości. Z tego powodu żaden punkt na Kubie nie leży dalej nad 60 km. od morza.

Ład Kuby ze swą bujną vegetacją, tworzącą gęste lasy, kędy nieraz siekierą torować sobie trzeba drogę, jest górzysty, zwłaszcza w części południowo wschodniej z pasmem gór Sierra Meastra, w których najwyższe szczyty do 2500 m. dochodzą. Tutaj też znajdują się bogate pokłady metali, mianowicie miedzi.

Liczne rzeki i strumienie górskie, przerywające kraj cały, wzbierają w porze deszczowej i wylewają szeroko, a tocząc po skałach spienione swe wody, tworzą kaskady malownicze dla oka, lecz nie ułatwiający bynajmniej komunikacji. Jedną tylko większą nieco rzeką jest Rio-Canto, którą bezpiecznie na łodziach aż w głąb kraju przebyć można, inne zaś — i właśnie to stanowi osobliwość Kuby giną często w pieczarach podziemnych, i albo ukazują się znowu w pewnej odległości, albo też podziemnym już łożyskiem wpadają do morza.

Ludność Kuby nie przedstawia takiej różnorodności barw i typów, jak na innych ziemiach Ameryki. Z pierwotnych krajowców indyjskiego pochodzenia, zachowały się w niektórych mianowicie okolicach, dość liczne jeszcze rodziny, wyróżniające się charakterystycznymi rysami twarzy, szorstkim prostym włosem, oraz budową czaszki, a obok tego fanatycznym przywiązaniem do rodzinnego kraju i swobody, oraz pogardą niebezpieczeństw i zaciętością w boju. W tym też kierunku stanowią żywe przeciwieństwo do zniewieściałych Kreolów, tworzących liczącą przewagę mieszkańców wyspy.

Napływowa ludność jest przedewszystkiem hiszpańska, nie brak wszakże innych narodowości, mianowicie Francuzów.

Od czasów zawładnięcia Antyllami, to jest od czterech już przeszło wieków, macosze rządy Hiszpanii nie starały się w najmniejszej rzeczy o podniesienie ogólnej kultury; szkół też posiada Kuba bardzo mało i szczupły jest procent wśród

mieszkańców umiejących choćby tylko czytać i pisać, jakkolwiek wrodzone zdolności i szczególna bystrość umysłu krajowców nadają się do wyższej oświaty.

Upodobanie w beczyność, jak wszędzie tak i tutaj stanowi wybitną cechę Kreolów, zamiłowanych w muzyce, tańcu i świetności stroju. Kreolki wszakże piękne w młodych latach wczesnie tracą urodę, nabierając przy braku ruchu niezmiernej tuszy.

Mówiąc o ludności nie możemy też pominąć Murzynów, przywożonych tu dawniej z Afryki, jako niewolników, a którzy po zniesieniu niewolnictwa osiedlili się na wyspie i odznaczają się większą od Kreolów pracowitością.

Niewyczerpanem bogactwem Kuby jest grunt jej zdatny pod wszelką uprawę, a żyzności tej sprzyja niemało podzwrotnikowy, wilgotny morski klimat.

Z produktów kubańskich pierwsze miejsce zajmuje tytuń, którego liście dostarczają materiału do wyrobu sławnych na cały świat cygar, znanych pod nazwą *hawańskich*. Obok wszakże plantacji tytoniu znaczne też dochody przynoszą mieszkańcom plantacje drzew kawowych i trzciny cukrowej.

Jako główne miasta wyspy wymienić należy Sant-Jago de Cuba, dawną stolicę, i obecną Habanę czyli Hawannę, która liczy już około 200,000 mieszkańców, oraz Porto Principe i Santa Clara, Matanzas i Cienfuegos.

Hawanna rozłożona na równinie od strony północno-zachodniej, żyznej lecz mniej malowniczej, ma w zupełności charakter miast hiszpańskich, z pięknymi promenadami: des Oreo i Tacon, obszernymi ogrodami i placami.

Z budynków miejskich zasługują na wyróżnienie wielki kościół katedralny, zbudowany w 1724 roku. W nim spoczywają szczątki Kolumba i tam też oglądać można olbrzymią jego podobiznę w płaskorzeźbie.

Życie całe skupia się tu po sklepach, w których Kreolki zarówno jak Hiszpanki, przyjmujące chętnie obyczaje miejscowe, czynią zakupy do swych kosztownych i barwnych toalet, w jakich występują następnie na ulubionych swych „corso” i balowych salach, gdzie namiętnie oddają się tańcowi. Najulubieńszym z tańców jest hiszpański: „Fandango” i „Cachucha” oraz miejscowa „Habanera”.

Wielce interesujący i całkiem oryginalny widok przedstawia miasto rankiem, kiedy przybywają dostawcy wszelkich produktów spożywczych. Ponieważ przy wysokiej temperaturze tego klimatu dowóz świeżego, słodkiego mleka staje się niemożliwym, przeto co rano przypędzają krowy na rynek i doją wedle zapotrzebowania.

Niemniej niezwykłym jest sposób dostarczania paszy dla miejscowych koni, oraz warzywa i wszelkich produktów handlu targowego.

Załączona tu rycina przedstawia nam właśnie objuczono sianem małe kubańskie koniki, które giną wprost pod stosami swego ładunku; złe bowiem drogi, lub brak ich zupełnie, dla wyżej wymienionych powodów, uniemożliwiają tak dalece komunikację kołową, że głównie juczne, a nie pociągowe używane są tu siły.

Nierównie piękniej od Hawanny leży Sant-Jago de Cuba, główne miasto zachodnich prowincji, zbudowane nad skalistą przystanią tegoż nazwiska, o którym rycina druga daje nam niejaki pojęcie.

Tarasowo wznosząca się ta miejscowość, zasłonięta od północnego podmuchu wiatru, ma klimat łagodny morski,

sprzyjający do tego stopnia rozwojowi roślinności, że światłość jej przechodzi najbujniejszą fantazyę, czyniąc z zakątka tego łącie czarodziejskie zjawisko, wyróżniające się z pomiędzy wielu innych uroczych miejscowości Kuby, tak ze wszechmiar bogato uposażonej przez przyrodę.

NIEDŹWIEDŹ

POWIEŚĆ Z XVI WIEKU

p. Zuzannę Morawską.

(Ciąg dalszy).

— Czy wiesz, dla czego cię wróciłam, synu mój najmilszy — mówiła Bona, wpatrując się w zarumienioną twarzyczkę chłopięcia.

— Ja się tam tak dobrze bawiłem — odrzekł królewicz.

— Ale teraz zostaniesz królem, będziesz tak, jak ojciec — mówiła, marszcząc brwi Bona.

— Wolałbym się tam bawić, niż być królem.

— Czemu? — przerwała porywczą królowa.

— Bo ojciec tak się ciągle martwi, ciągle smutny, nie może się bawić...

— La stoltezza (głupstwo) — mruknęła Bona.

— Tam był chłopiec, co udawał niedźwiedzia, grał tak ładnie; i były dwie dziewczynki, podarowały mi tak dużo pierników, zaraz, mamie przyniosę... I chciał biedz po nie, lecz matka objęła go wpół i zatrzymała.

— Siniora, a gdzie pierniki? — zapytał Zygmunt stojąc na uboczu Alenini.

— Zaraz przyniosę! — odrzekła zapytana, i wybiegła szybko z komnaty.

— I nie tęskniłeś do matki? — spytała królowa.

— Hm — odparł Zygmunt — ja mamę bardzo kocham, ale się tak dobrze bawiłem...

— Precz, niewdzięczny! — krzyknęła Bona.

I tak gwałtownie odepchnęła syna od siebie, że się aż uderzył o stół stojący opodal.

Bona zaś wstawszy ze swego fotelu poczęła biegać, miotając po polsku i po włosku najrozmaitsze wyrazy.

Tymczasem Zygmunt trzymając się za czoło, na którym potężny guz wyskoczył, płakał najpierw pocichu potem coraz głośniej, a widząc, że matka nie zwraca na to uwagi, jeno cała zaczerwieniona, biega i gniewa się coraz więcej, zaczął i on za nią biegać.

— Boli! boli! — wołał, trzymając się za głowę, bolił mama mnie nie kocha! — powtarzał.

— Co cię boli! — krzyknęła matka, patrząc nań całą rozplamioną gniewem.

I oderwała mu rękę od czoła.

— Ma-ma mnie tak brzy-y-dko uderzyła! — zawołał Zygmunt.

— Kto, ja? ach, ty dziecko moje, skarbie mój! to Alenini wszystkiemu winna, ochmistrzu! — krzyczała Bona, całując syna w zaczerwienione czoło.

— Och-mi-strza nie było tu-taj. — stanął w obronie Zygmunt.

— To właśnie źle, że go nie było, powinien być ciągle przy tobie, zabijesz się jeszcze, skaleczysz, skarbie mój najdroższy — wołała, bijąc gwałtownie w kowadełko.

Wbiegła też właśnie siniora, trzymając na srebrnej tacy pudełko, ofiarowane przez kasztelanki królewiczowi. Na dnie jednak pudełka było zaledwie kilkanaście pierniczków, siniora bowiem, jak się słusznie Zygmunt obawiał, większą część przysmaku zachowała dla siebie. Alenini jednym rzu-

tem oka zrozumiała, że podczas jej nieobecności musiała zajść jedna z tych scen, które się dość często powtarzały, stawiając wiesz szybko tace, chwyciła w swe ramiona królewicza, wołając:

— Ach, to ja wszystkiemu jestem winna, pobiegłam po pierniczki i nie ochroniłam mego najjaśniejszego pana od upadku.

Zygmunt jakkolwiek niechętnie, dał jej się wyprowadzić, a Bona ujrawszy się samą rzuciła wzrokiem na stojące na tacy proste łubowe pudło z pewną pogardą; powoli jednak przełamawszy swoją niechęć do niepozornej powierzchowności, zajrzała do środka, a wzięwszy we dwa palce rumiany, okrągły pierniczek, chrupała go z widocznym upodobaniem.

VI.

— Dla nowo obranego króla, a naszego syna, zrobić wzniesienie tuż przy mojem — wołała Bona, stojąc na środku wielkiej komnaty, w której zwykle zbierał się dwór jej całej i zabawiano się muzyką, śpiewem a nawet i tańcem.

Marszałek dworu, który kierował całym urządzeniem, ujrawszy królowę jejmość, usunął się nieco na bok z uszanowaniem.

— Nie tak wysoko, trochę niżej od mego krzesła, ale tuż obok, po prawej stronie, nie... po lewej, nie nie... prawej!... wołała.

Służba biegła z jednej strony na drugą, przestawiając wyścielany stołek z wysoką poręczą.

— Mości marszałku, wysłać połowę komnaty najwspanialszymi kobiercami, nie nie połowę, tylko część, gdzie będzie ustawione siedzenie dla mnie i dla mego syna, a waszego najmiłościwszego króla.

Marszałek dworu słuścił głowę na znak, iż zrozumiał polecenie i spoglądał na krzątającą się służbę, której od czasu do czasu robił swoje uwagi.

— Ochmistrz jego królewskiej mości naszego syna stanie za jego krzesłem, siniora Alenini z lewej strony, między mną, a królem.

I rzuciwszy ten rozkaz wybiegła szybko, ażeby dokończyć rozpoczętego stroju. Weszła bowiem w rannem domowym ubraniu, snać nawet przerwała czesanie, bo część jej bujnych włosów zwinięta była w węzeł, reszta spadała na ramiona.

Po wyjściu królowej, marszałek odetchnąwszy swobodnie, wziął się do wydawania rozkazów, a służba krzątała się z całą gorliwością i pospiechem, aby te rozkazy jak najprędzej wypełniać.

Znać było, że to nie na zwykłą codzienną zabawę przygotowywano komnatę, lecz na jakąś wyjątkową uroczystość.

I rzeczywiście, uroczystość to była wielka, bo oto właśnie wczoraj, późnym wieczorem przybyli z Piotrkowa posłowie, ofiarujący Zygmuntowi koronę.

Dzień więc 6 stycznia 1530 r. był nie tylko świętem Trzech Króli, ale i świętem dla młodzieńczego królewicza, który nie pojmował jeszcze całej doniosłości obowiązków, jakie nań z tytułem króla spadały.

Około południa do pięknie przybranej komnaty zaczęły wchodzić postrojone panny, damy dworu królowej, a każda z nich trzymała to lutnię, to gitarę, to bębenek obwieszony dzwoneczkami. Za nimi wsunęły się w krótkich spódniczkach i obeślanych spodeńkach dziewczęta, trzymając długie, cienkie, barwiste chusty. Te stanawszy na uboczu, razem z innymi, spoglądały na drzwi, z których zwykle wychodziła wraz z synem królowa.

Wkrótce też ukazała się Bona, za którą dwóch paziów niosło kraj powłóczyściej żółto-cytrynowej sukni. Czarne jej włosy, które niedawno widzieliśmy spadające na ramiona, były teraz ukryte pod wielkim czepcem, zakończonym drogiemi kamieniami w kształcie korony, tylko nad czołem i za uszami widać się ciemne kosmyki misternie skrecone. Szyję miała

obwieszoną perłami z pomiędzy których błyszczały gdzieniegdzie krwawem swem światłem rubiny lub świeciła iza brylantów. W rękę miała królowa sztylckretowy, misternie rzeźbiony, złotem nabijany wachlarz.

Piękne to bawidełko służyło jej nietylko do chłodzenia się, lecz i dawania znaków poufnych, na których dwór przyboczny doskonale się rozumiał, a rozkazy wydawane wachlarzem były częstokroć gorliwiej spełniane aniżeli ustne. Za nią wkroczył dwór złożony z kilku dam i maleńki, nie trzymający dwóch stóp karzełek. Maleństwo to było pousowo a bardzo dziwacznie ubrana, i tak trzymało się fałdów sukni królowej i tak posuwało się z nią razem, iż można było raczej wziąć za ozdobę przyczepioną do szaty, niż za żywe stworzenie.

Za tym dworem szedł dopiero Zygmunt w kurtce fioletowej, z żółtymi bufiastymi rękawami, w żółtych u góry bufiastych a poniżej kolan bardzo obeisłych spodeńkach i czerwonych bucikach, z długimi zagiętymi ku górze nosami. Włosy

W tej chwili wyskoczył karzełek, w niskim ukłonie uderzył czołem o podnózek wzniesienia, na którym siedziała Bona i zaraz ręką ku ziemi skłonił się królewicowi. Potem przymrużył jedno oko, począł chwiać głową na wszystkie strony, wreszcie spojrzął na siniore, wykrzywił się nader pocieszenie wyciągnawszy swe długie i kościste ręce, zagrał na nosie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Zygmunt, i spojrzawszy na Alenini, powtórzył gest wykenany przed chwilą przez karzełka.

— Proszę zaprzestać — szepnął pan Opaliński, nachylając się do ucha swego wychowawca.

Królewicz przerwał śmiech, spojrzął z pewnym wyrzutem na ochmistrza i szepnął:

— Czemu nie pozwolicie mi się bawić!

(d. c. n.)



Dostawa siana do Hawanny.

miał w loki zawinięte, a na czole złotą przepaskę, nie tyle dla ozdoby, ile dla zakrycia nabitego wczoraj guza. Za nim weszła siniora Alenini, rzucając przenikliwie na całe zgromadzenie swemi maleńkimi, wiecznie biegającymi oczkami, dalej kroczył poważnie pan Piotr Opaliński. Obok siedzącej już matki królewicz zajął miejsce, ochmistrz stanął zaraz za jego plecami. Siniora zaś weisnęła się tak, ażeby być gotową na każde skinienie swej pani.

Zaledwie też każdy zajął swe miejsce, gdy królowa dała znak siniore.

Alenini przykleknawszy nieco nachyliła ucho, ażeby szepł był tylko przez nią słyszany.

— Patrz i słuchaj pilnie — rzuciła Bona swej ulubienicy.

— Bene, bene! — odrzekła siniora.

I odtąd oczy jej zwrócone były nie tyle na królewicza, ile na każde poruszenie ochmistrza.

— Zacząć zabawę! — rzekła królowa do marszałka, który sprawował zarazem urząd mistrza ceremonii, podczas mniejszych codziennych zebrani.

I jednocześnie rozwinęła wachlarz, a kładąc go na kolanach, strzepnęła fałdami bogatej swej szaty.

W OTCHŁANIACH MORSKICH

PRZEZ

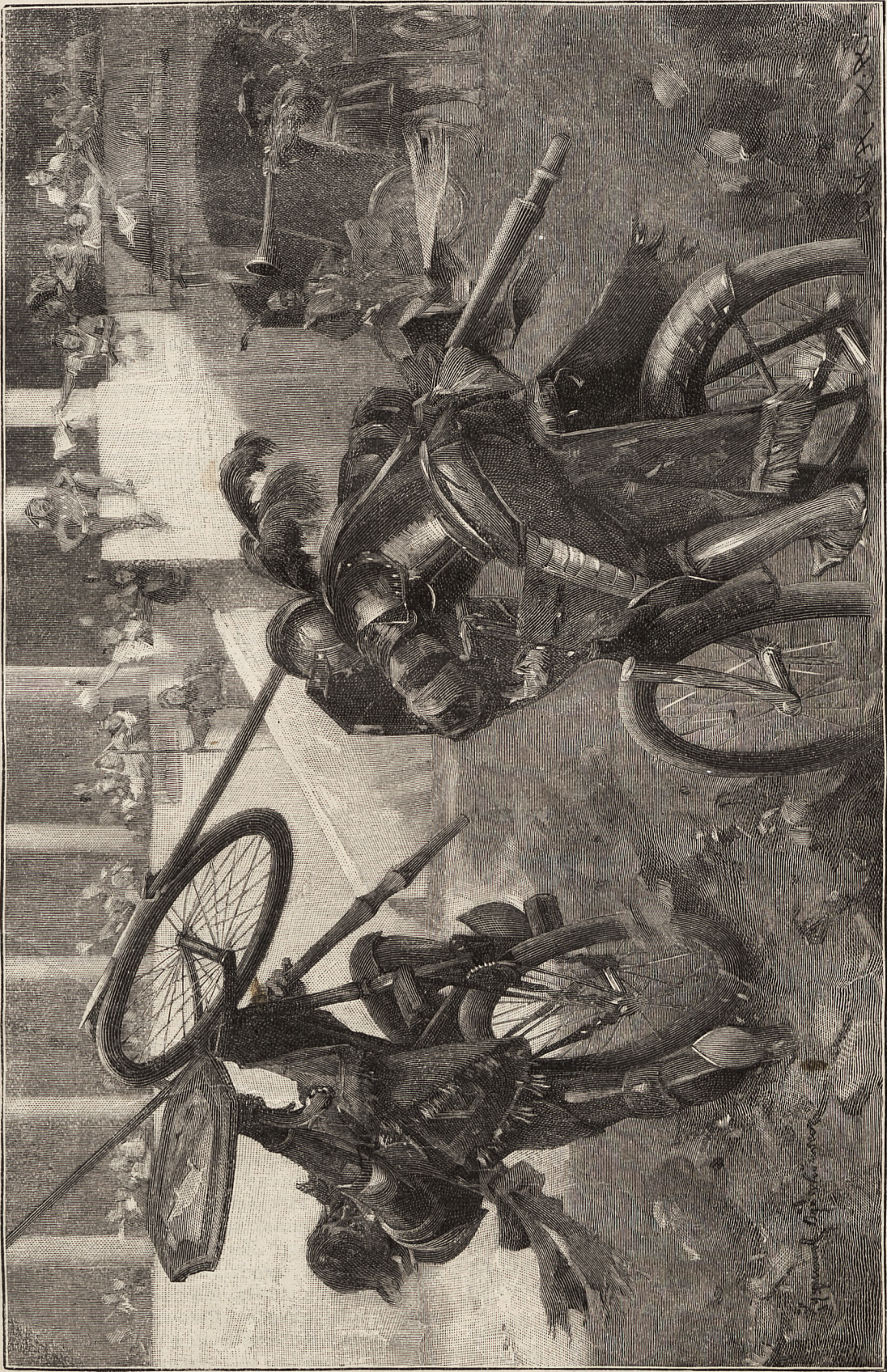
Dr. M. Stefanowską.

(Dalszy ciąg).

Wyprawy Travailleura i Talismana.

Po badaniach przyrodniczych na morzu, dokonanych w Norwegii, Ameryce i Anglii, a głównie po pamiętnej wyprawie *Challenger* zdawaćby się mogło, że historia otchłani morskich została dokładnie poznana, i że po tych wielkich odkryciach przyszłym wyprawom pozostało do dodania drobne tylko szczegóły. W istocie sprawa inaczej się przedstawia i nauka nie prędko jeszcze posiedzie wyczerpujące wiadomości o życiu w głębiach morskich.

Dodajmy, że między poprzednimi wyprawami dwie jedynie *Porcupine* i *Challenger* badały morze na znacznych



Turniej współczesny.

obszarach, lecz i te wyprawy postawiły sobie za zadanie ogólne, poznać głębie morskie oraz ich mieszkańców i zadanie to świetnie spełniły. Ale pozostawało jeszcze wiele do zrobienia; trzeba było teraz szczegółowo poznać faunę rozmaitych części danego oceanu i porównać ją z fauną innych głębów. Taki cel zakreśliły sobie wyprawy francuzkie.

Francya dała się początkowo wyprzedzić innym krajom w poszukiwaniach morskich, lecz następnie, między rokiem 1880 a 1883, wysłała cztery wyprawy naukowe, które chlubą okryły jej imię. Będąc otoczona oceanem Atlantyckim oraz morzem Śródziemnym, Francya postawiła sobie za zadanie zbadać o ile możności szczegółowo faunę tych mórz sąsiednich.

W 1880 r. wyjechał okręt *Travailleur* pod przewodnictwem Alfonsa Milne-Edwardsa, i odbył trzy podróże, podczas których badał faunę morza Śródziemnego oraz Atlantyku, u wybrzeży Portugalii i Hiszpanii, i dotarł aż do wysp Kanaryjskich. W Atlantyku wszędzie znaleziono faunę głębinową nad wyraz bogatą, natomiast w morzu Śródziemnym zwierzęta są niezmiernie obfite jedynie u wybrzeży, lecz w głębinach poniżej kilkuset metrów zwierząt jest niezmiernie mało, a na jałowym gliniastym dnie jego znajdowano jedynie gąbki aż do 2600 metrów. Zauważono również, że na tej głębokości, gdzie zaczyna się ubóstwo zwierząt, temperatura morza Śródziemnego była stałą i miała 13° stopni stu stopniowego termometru; gdy tymczasem w innych morzach temperatura spada w miarę głębokości.

Robiono rozmaite przypuszczenia, aby wytłomaczyć, skąd pochodzi takie ubóstwo morza, i Śródziemnego, wówczas gdy Atlantyk, z którym się morze Śródziemne łączy, jest niezmiernie obfite we wszelkiego rodzaju zwierzęta. Najprawdopodobniejszą wydaje się ta przyczyna, że zwierzęta żyjące w głębinach Atlantyku, mają utrudniony dostęp do morza Śródziemnego z powodu wysokiego progu, który się znajduje tuż pod cieśniną Gibraltarską i jak ściana dzieli dwa morza. Śródziemne stosunkowo niedawno powstało, i że woda jego jest o wiele słodsza niż w Oceanie, a to są bezwątpienia warunki, z powodu których życie zwierzęce nie mogło i nie miało jeszcze czasu tak się rozwinąć w tem morzu wewnętrznym jak w sąsiednim z niem oceanie.

W 1883 r. odbyła się wyprawa naukowa *Talismana*, najdłuższa i najważniejsza ze wszystkich podróży francuzkich, gdyż trwała trzy miesiące. *Talisman* był okrętem o wiele mocniej zbudowanym od *Travailleura*, a przytem zaopatrzony był w więcej udoskonalone przyrządy do badań naukowych. Podróżował on wyłącznie po Atlantyku, ale zdala od wybrzeży europejskich i dotarł aż do wysp Azorskich, Kanaryjskich oraz archipelagu Zielonego przylądka. *Talisman* pływał także po morzu sargasowem i badał jego florę i faunę; rozmaite szczegóły, jakie czytaliście poprzednio o tej pływającej łące, zaczerpnięte są właśnie z opisu podróży *Talismana*. Podczas swej podróży okręt ten wykonał 212 pomiarów głębów morskich i to w sposób nader ścisły, a kilka razy natrafił na głębiny, mające przeszło 500 metrów. Włóczęcąc się po dnie wielkich głębi, zebrano niezmiernie wiele ciekawych i nowych zwierząt.

Wspaniałe zbiory *Travailleura* i *Talismana* wystawione były następnie w Paryżu i publiczność oglądała tajemnicze istoty, wyrwane z otchłani morskich.

Po tych pierwszych wielkich wyprawach naukowych, które opisaliśmy pobieżnie, nastąpiło wiele innych wypraw, wysłanych przez rozmaite kraje, bądź w celu mierzenia głębów morskich, bądź w celu łowienia zwierząt. Badania na morzu czynione są nieustannie i wciąż przybywa coś nowego do skarbnicy wiedzy ludzkiej.

Z tego opisu wypraw naukowych morskich widzimy także, że zoologia świetnie rozwijać się zaczęła dopiero w drugiej połowie naszego stulecia od czasu, gdy poznano mnóstwo różnych zwierząt pelagicznych a zwłaszcza głębinowych, których istnienia przedtem nie domyślano się nawet. Odkrycia te rzuciły nowe światło na rozwój życia na naszej ziemi, a zarazem sprawiły istny przewrót w naukach przyrodniczych.

Moje skarby.

Dla M. L. z Z.

Mem bogactwem — słonko Boże,
Co nad ziemią płynie,
I całuje złote zboże,
I w tęczowym łnie kolorze
Na rzeceznj głębinię.

Mem bogactwem — nasze drzewa,
Gdy je szron oplecie,
Lub gdy po nich dumki śpiewa
Wiatr, i listki w dal rozwiewa
Po szerokim świecie.

Mem bogactwom — krzyż srebrzysty
Na kościelnej wieży;
I głos dzwonów uroczysty,
I ton pieśni, jak łza czysty,
Co ku niebu bieży.

Mem bogactwem — dom kochany,
I płomień ogniska,
I rodzinne moje ściany
I głos drogi, wzrok świetlany,
Co tam do mnie błyska.

Mem bogactwem — ta nauka
W twardej książek zbroji;
W której umysł wiedzy szuka,
I skąd przeszłość, piękno, sztuka,
Duszę moją poi.

Mem bogactwem — ludzkie dusze,
Pośród których stoję..
Gdy im jedną łzę osuszę,
Myśl podniosę, serce wzruszę,
To są skarby moje!

Ludwika Życka.

TURNIEJ WSPÓŁCZESNY.

Dawniejsi rycerze w czasach średniowiecznych walczyli na dzielnych rumakach, krusząc kopie na turniejach. Dziś czasy się zmieniły: turniejów już niema, a miejsce wierzchowców coraz częściej zajmuje rower. Artysta malarz Zygmunt Ajdukiewicz bardzo udatnie i dowcipnie zestawił ciężko uzbrojonych rycerzy średniowiecznych z tak modnym obecnie bcyklem, którego główną cechą jest lekkość.

Mamy przed sobą arenę pełną widzów w strojach z przed laty kilkuset; rycerze w stal zakuci godzą na siebie, ale o dziwo! miast koni we wspaniałych rzędach, pod rycerzami dwa rowery. Zwycięstwo już zdecydowane. Szczęśliwy zapaśnik nie ugodził wprawdzie w pierś przeciwnika i nie wysadził go z siodła, ale zadał mu dotkliwszą ranę, bo przeszył kopią obręcz gumową jego roweru. Po takim ciosie zwyciężony musi ustąpić z pola walki.

Turniej ten jest naturalnie fantazją artysty, ale obecnie i w wojsku są już oddziały cyklistów, którzy niekiedy szybciej się sprawiają, niż kawalerzyści.

NA POLANCE

powieść

P. E. Jerlicza.

(Dalszy ciąg)

— Przypatrywałam się, jak pańskie dzieci bawiły się tem cackiem, i aż mi się coś dziwnego działo, żeby mieć podobne. Aż wtem kula im uciekła, ale nie poleciała daleko, bo się zaczepiła o drzewo. Dzieci chciały ją zdjąć, ale nie mogły wdrapać się na drzewo, słyszałam jak mówiły, że pójdą po kogo, żeby im pomógł. Więc ja się pospieszyłam, wlażłam na drzewo, dostałam kulę i uciekłam.

— Fe! ukradła! — zawołała z uniesieniem Zenia.

Dziewczynka nie zdawała się wcale dotkniętą tym zarzutem, owszem skinęła głową i potwierdziła:

— Ukradłam ją, bo mi się bardzo podobała, ale potem przypomniałam sobie co mi panna Ludwinia mówiła wczoraj, że to grzech jest brać cudzą własność, że Bóg co mieszka w niebie i jest ojcem wszystkich ludzi, smuci się gdy źle czynimy. Tak też wołałam odnieść to cacko i oddać je panience.

— Co ty dziecko mówisz! — zawołała zdziwiona Joasia. Alboż to poprzednio nie wiedziałas o tem?

— Siostra Aniela mówiła mi też o tym Bogu, i o niebie, tylko, że długo nie byłam w ochronie, bo kazali nam wyjechać na wieś.

— A przedtem nikt ci nie tłumaczył, że Bóg się brzydzi złem i kraść zabrania?

— A któżby miał tłumaczyć?

— Ależ ci, co się dotychczas opiekowali tobą.

— Kiedy mną nikt się nie opiekował.

— Jakto, przecież miałaś rodziców? — rzekła Basia.

— A toć miałam, tylko oboje umarli, jak byłam jeszcze małą. Wzięła mnie tam Maciejowa do siebie, ale ona piła wódkę, i tylko mnie biła a potraçała, to też uciekłam od niej w końcu.

— Biedne dziecko! — szepnęła ze współczuciem pani Skalska, która stała wśród dziewczynek na ganku i słyszała opowiadanie małej.

— I wtenczas dostałaś się do ochronki? — spytała.

— Eh nie zaraz, proszę pani, latałam z dziećmi aż do jesieni, ale jak chłody nastąpiły, a ja spałam byle gdzie na ziemi, to dostałam okropnego kaszlu, a potem było mi zimno i głowa bolała, to mnie dzieci wpakowały pod stertę słomy, żeby mi było ciepłej, i tam mnie znalazła siostra Julia, taka zakonnica w dużym białym kapeluszu, ale ja już o tem mało co wiedziałam, bo mi się straszliwie przed oczami mroczyło. Jak się obudziłam, to leżałam w ładnym pokoju, w łóżecku na białej pościeli; było tam więcej też chorych dzieci, bo to był Szpitalik. Już mnie tam nikt nie bił, a jeść też dawano, a takie dobre panie przychodziły do nas, rozmawiały z nami, przynosiły nam nawet ładne zabawki. I ja też dostałam lalkę, o mój Boże, jakże się cieszyłam, całe życie chciałam mieć własną lalkę!

— Więc ty wprost ze Szpitalika przyjechałaś tutaj?

— O nie! Jak już wyzdrowiałam, zaprowadziła mnie Siostra Julia do ochronki. Tam było mi jeszcze lepiej, bo dzieci tam dużo, to nieraz bawiłyśmy się wesoło. Nasłuchiwałam się też słicznych historii, które nam Siostra Aniela opowiadała, o Matce Boskiej, o Dzieciątku Jezus, który tak bardzo ukochał dzieci...

— Ale widzisz, Pan Jezus kochał tylko dobre, grzechne dzieci, a ty nie byłaś dobrą, gdy zabrałaś sobie ten balonik — powiedziała Stasia.

— Ja też sobie tak myślałam, że to pewnie nie dobrze, bo panna Ludwinia, która przychodzi tam do nas codzień, tłumaczyła nam już, że kłamać to brzydko, a kraść jeszcze

gorzej. To już niech lepiej nie mam tej kuli, niech ją panienka odda tej małej co za nią płacze, a na mnie się nie gniewa...

To mówiąc, Basia pocałowała jeszcze raz Ludwinę w rękę i uciekła tak spiesźnie, jakby ją kto gonił.

— Uważcie tylko panienki — rzekła pani Skalska — jak wielkie są zasługi tych, którzy mają dobrą wolę zatroszczyć się o los tak biednych, bez opieki zostających istot. Jak wielkiem dobrodziejstwem są szpitaliki i ochronki, gdzie nie-szczęśliwe sieroty znajdują opiekę w chorobie i moralny kierunek dla swych młodych duszyczek..

Dziewczynki poczęły żywo na ten temat rozmawiać, tworząc różne plany na przyszłość. Tylko Zenia miała znużoną minkę, a Joasia pogrążyła się w smutnem zamyśleniu, z którego nie otrząsała się nawet za nadejściem dziadunia, wzywającego panienki do ogrodu, gdzie im po ładnym bukietku róż, na jutrzejszą niedzielę obiecał!

Gdy więc wszystkie wesoło i gwarno opuścili werendę, Joasia pozostała na swem miejscu obok pani Skalskiej.

— Bodaj jakieś smutne myśli zajęły twą główkę, Joasiu? — zapytała pani domu.

Dziewczę pochyliło się do jej ręki.

— Ach, jak to dobrze, że ja do państwa przyjechałam, jak to dobrze! — rzekła z widocznem wzruszeniem.

Zacnem swem sercem pani Skalska odczuła myśli dziewczęcia, nie badała też więcej, lecz przygarnęła do siebie z ową macierzyńską czułością, która nie roztkliwia, a przeciwnie, budzi potrzebny hart i siłę w młodej duszy.

Niezadługo znów gwarno zrobiło się na werandzie; młode towarzystwo układało plany na dzień jutrzejszy, by jak najprzyjemniej go spędzić. Postanowioną została wczesna wycieczka do pobliskiego jeziora, tak wczesna, by nie przeszkodziła bytności w kościele na uroczystem nabożeństwie.

Tymczasem ulewny deszcz, który zasępił już nawet wschód słońca, obrócił w niwecz wszelkie przyjemności. Dopiero około południa wypogodziło się niebo, pozwalając letnikom Polanki wyjrzeć z ich mieszkań.

Drogą od strony Osowca nadbiegł Zygmunt zadyszany, a spostrzegłszy Karola począł wołać z daleka:

— Gdzie Janek i Henryk? Poszukaj ich prędko, rzecz bardzo ważna!

— Co takiego, co się stało? — pytał zaciekawiony Karol.

— Wilk! widziałem wilka!

— Co ty mówisz?... być nie może!

— A jakże, widziałem go, na polu za Osowcem. Wiesz, przy tym wielkim kamieniu, na wpół wrośniętym w ziemię.

— Cóżby tam wilk robił.

— Albo ja wiem! Pewno upatrywał zdobyczy.

— To może ci się tylko przywidziało — tłumaczył Karol, widocznie jednak zaciekawiony.

— Co mi się miało przywidzieć. Alboż to nie znam wilka! Mało dziesięć razy widziałem go w gabinecie zoologicznym.

— Ale żywego nie widziałeś przecie jeszcze...

— To i cóż? Wiem jednak, że u żywego oczy się świecą jak rozżarzone węgle! Po tem się wilka zawsze poznaje.

— A temu, coś go widział, czy też błyszczały?

— Jak dwie latarnie w nocy!

— To chyba prawdziwie wilk — zdecydował Karol i zawołał głośno: — Janek, Henryk! chodźcie prędko. Słyszycie — dodał do nadbiegających z ogrodu chłopców. — Zygmunt wytropił wilka!

— Widziałeś wilka naprawdę? Opowiedz gdzie, kiedy?

— Widziałem go na własne oczy, tylko nie zbliżałem się zbyt, bo byłem bez broni...

— Eh, dajże pokój — przedstawiał Janek — skądżeby się tu wilk wziął nagle, dużych lasów niema przecie w całej okolicy.

— Tego to już nie wiem skąd się wziął, dość, że jest tam na polu — dowodził Zygmunt z głębokim przekonaniem,

i począł opisywać widziane zwierzę tak dokładnie, że chłopcy w końcu uwierzywszy mu zupełnie, postanowili zrobić obławę na niebezpiecznego wroga nie tylko pasących się trzód, ale nawet spacerujących po Polance letników.

Szczęśliwym wypadkiem znalazły się aż trzy dubeltówki we dworze, czwartą pożyczył Zygmunt u młynarza, więc uzbrojeni jak należało, wybrali się młodzieńcy na łowy, budząc groźnym swym wyglądem i poważnymi minami nie ma-

która rozprzeczła się niebawem, jak stado spłoszonych wróbla.

Za przybyciem jednak do domu, bezpieczne już pod opieką mamusi lub starszej siostrzyczki, malcy, spieszyły do okien i ciekawie wyglądały powrotu chłopców, którzy przyniosą zabitego już wilka, lub jego skórę przynajmniej.

— Bo zabity wilk nie nam już zrobić nie może — wodził Romcio.

Tymczasem chłopcy wrócili, ale bez wilka, bez jego skóry nawet. Co się z nim stało?... Oto, choć z przykrością odważni myśliwi wyznać musieli, że ów wilk straszny, był tylko najzwyczajszym kundlem, który widocznie niezbyt suto karmiony w chałupie swego pana, wybrał się w pole, by ułowić zajęczka lub młodą kuropatkę, a po sutej jak się zdaje uczcie, siadł sobie wygodnie przy wielkim kamieniu i wygrzewał na słońcu.

Wprawdzie Zygmunt, ratując swój honor, usiłował jeszcze tłumaczyć, że to było całkiem inne zwierzę, które on zobaczył. Towarzysze jego wszakże pewni byli, zważywszy, że kundel spoczywał na tem samym miejscu, które miał zajmować wilk mniemany, iż niewątpliwie młody znawca wilków uległ trochę śmiesznej pomyłce. Co prawda kundel był tak ładny do wilka podobny, że sam jego właściciel, który bezwątpienia poznał ten rodzaj zwierząt nie z gabinetu zoologicznego, lecz na żywych okazach, nazwę „Wilczka” mu nadał.

— Niema co mówić, żadnego wilka tu nie było — rezonował Karol — bo wiadomą jest rzeczą, że żaden pies nie siedziałby tak spokojnie, gdyby czuł w pobliżu największego swego wroga.

I chłopcy poczęli żartować z Zygmuntem, jak to się sprawdza przysłowie:

strach ma duże oczy, albo to inne: jeśli nie wilk, to z pewnością szary pies, co młodego bohatera w niezbyt wesoły wprowadziło humor, tem więcej, że w całej Polance chybiona wyprawa młodzieży stała się prędko znaną, dając temat do różnych żarcików.

Nawet mały Romcio opowiadał z komiczną naiwnością dziecka:

— Chłopcy poszli zabijać wilka, co siedział na kamieniu, a wilka nie było, tylko Burek z Marcinowej chaty.

Malutka zaś Jania szczebiotała:

— Ja się tak balałam zobaczyć skórę wilka, i Nacia się bala i uciekaliśmy, aż się Nacia przewróciła i ja też...

(d. c. n.)



Widok od strony morza na Sant-Jago de Cuba.

ła trwogę wśród drobnej dziatwy, dla której wiadomość o wilku, stała się hasłem do spiesznej ucieczki z ulubionego miejsca zabawy pod lasem.

Chociaż Romciowi serce biło młotem w piersiach, lecz jak przystało mężczyźnie, zanim sam poszukał bezpiecznego w domu schronienia, pobiegł z ostrzeżeniem do dziewczynek, które właśnie budowały domki z piasku i zielonemi gałązkami obsadzały ścieżkę, mającą prowadzić do wzniesionego przez siebie miasta.

— Uciekajcie, uciekajcie! — wołał Romcio z daleka, wymachując rączkami. Pan Zygmunt zobaczył wilka tam w polu, takiego strasznego wilka, co nas wszystkich pożreć może! Chłopcy wzięli strzelby i poszli go zabijać!

— Wilk, wilk! — rozległo się wołanie wśród gromadki,

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TRĘŚĆ: Ś. p. Aleksandra z Chomętowskich Borkowska. — Perla Antyllów (z ryc.) — Niedźwiedź, powieść z XVI w. przez Zuzannę Morawską. — W otchłaniach morskich przez dr. M. Stefanowską. — Moje skarby, wiersz przez Ludwikę Życką. — Turniej współczesny (z ryc.) — Na polance, powieść E. Jerlicza. — Dodatek: U cioci Polci (z ryc.) — Pszczółka, wiersz. — Tajemnica Marylki — Gołąbek Bożenny. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.

WIECZORY RODZINNE

U cioci Polci.

(Dalszy ciąg).

— Kto ciocię tyle ślicznych sztuczek nauczył — pytała Mania.

— Ktoby miał nauczyć, ciocia je sobie sama wymyśla, dla naszej zabawy — objaśnił Henryś. Takiej dobrej cioci, jak ciocia Polcia niema drugiej na świecie, ja też ją bardzo kocham.



— Przyjemnie mi usłyszeć twe zapewnienie, że mię pokochałeś mój mały, ale nie mogę przyjąć na siebie zaszczytu wynalazku tych cieni. Zabawy takie bowiem są od bardzo dawna znane, pod nazwą cieni chińskich; Chińczycy bowiem, naród mieszkający w Azji...

— Ja wiem ciociu, Chińczycy robią herbatę... — zawołała Mania.

— Właściwie oni jej nie robią, lecz hodują krzewy herbaciane, i przysposabiają odpowiednio ich liście — poprawiła ciocia. Otóż ci Chińczycy lubią się zabawiać takimi cieniami, urządzając całe sceny z kilku postaci, które się poruszają w bardzo śmieszny czasem sposób.

— A czy cioteczka umie coś więcej ułożyć ze swych rączek, jak buldoga i koziołka? — pytał Kazio.

— Umiałam dawniej bardzo wiele takich rzeczy, lecz trochę już zapomniałam.

— Ciocia sobie przypomni, moja ciociu! — prosiły dzieci.

— Dobrze dobrze! Tylko puście mi ręce, bo one muszą być swobodne, a jak mię tak obstarą, ruszyć się nie mogę...

Dzieci usunęły się grzecznie na bok, a ciocia wzkażała im, jak złożyć obie dłonie, by na cieniu powstała sylwetka czyli czarny obrazek, przedstawiający głowę młodego wołu. Najdрудniej było z rogami, bo zawsze wy-

chodziły na cieniu albo w różne wykrzywione strony, albo nierównej długości.

— A ptaka jakiego, umie też ciocia? — pytał Henryś, który szczególniej ptaki lubił i właśnie hodował sobie dwie synogarliczki w klatce.

— Spróbuję, może mi się uda, pokazać wam i ptaka jakiego. Ale do tego pomocnym mi będzie Kazio. To mówiąc ciocia Polcia podsunęła w górę rękaw prawej ręki chłopca, wygięła ją zrećnie, niby szyję łabędzia, którego głowę z dziobem tworzyła dłoń z palcami, odpowiednio ułożonymi. Grzbiet ptaka przedstawiała głowa Kazia, uchylone zaś trochę skrzydła — lewa ręka przyłożona do głowy.

Łabędź na cieniu poruszał też czasem szyjką chcąc niby dziobać podsuwające się zbyt blisko ku niemu zabawione dzieci, które z kolei też łabędzia przedstawić chciały.

— A jak to Chińczycy robią, żeby odegrać całe sceny, o których ciocia mówiła — zapytał Henryś — czy oni też tylko rąk używają do tego, i muszą też mieć takie jasne kółko na ścianie?



— W Chinach zabawa w cieniu urządzana jest podobnie, jak u nas teatr, tylko, że w miejscu, gdzie u nas podnoszą zasłonę czyli kurtynę, tam znajduje się rozpięte białe cienkie płótno, na którym ciemne obrazy występują, od osób lub przedmiotów znajdujących się z tamtej strony, a więc dla publiczności niewidzialnych.

— To musi być jeszcze wiele więcej zabawne — prawda ciociu.

— Bywa bardzo czasem śmieszne, i może też kiedy urządzimy sobie takie chińskie przedstawienie. Na dzisiaj wszakże dość już wszelkich rozrywek. czas już na spoczynek, śpijcie dobrze moje dzieci!

Dziękujemy! i dobranoc ciotuchnie — wołała rozbawiona gromadka.

Pszczółka.

II.

Precz zaraz odemnie,
Bo prosisz daremnie,
Nic nie dam, choć mam ja
Dowoli.

Pracować nie chciałeś,
Lato przeskakałeś,
Tańcz teraz, choć serce

Cię boli.
A przykład bierz z pszczoły,
Jej żywot wesoly,
Choć ciężko pracuje
Dzień cały.

Bo pracę się szczyć,
A miód ją nasyci,
Chociażby i wichry
Powiały.

Ej! smutna twa mina
Mnie gniewać poczyna,
Precz leniu od mojej
Tu pracuj!..

Skakałeś przez lato,
Więc zimną skacz za to!
Nie dla was ja robię
Próżniacy!

Marylka widzi zadowoloną twarz mamy, ale nie jej nie powie. Mama powinna sama zgadnąć, mama zawsze zgaduje jej myśli. Muszę być grzeczną, to — zakłęcie, co ze złych dzieci robi dobre. I ona sobie sama je wymyśliła.

— Wie mama, ja mam tajemnicę.

— Jaką?

— Niech mama zgadnie.

— Może, jak z nieposłusznej Marylki zrobić grzeczną dziewczynkę. Czy tak?

— Zkąd mama wie, moja mamusiu, zkąd mama to wie?

— Domyśliłam się.

— A zakłęcie mama zna?

— Nie, nie znam.

— Mam powiedzieć?

— Powiedz, powiedz bom ciekawa.

— Powiedziałam sobie i muszę, muszę być grzeczną i posłuszną.

— Moje dobre, pocziwe dziecko.

Marylka jest tak szczęśliwa, jak nigdy.

Tydzień minął, a Marylka ani razu nie sprzeciwiła się mamie, bo poco ona ma zasmucać mamę, którą kocha, kiedy może być dobrą? Często tylko powtarza: ja muszę, muszę być grzeczną, aby mamy nie martwić.

H. G.

TAJEMNICA MARYLKI.

— Ja muszę być grzeczną i posłuszną — mówi Marylka stanowczym głosem, leżąc już w łódeczku. Ja mamę kocham, więc po co mam ją martwić. Od jutra, muszę koniecznie być grzeczną. Szkoda, że to jeszcze nie jutro. Jutro wczesnie wstanę, ubiorę się prędyutko, wypiję mleko, będę robiła wszystko, co mama zechce. Czy też mama zauważy tę zmianę? nie mogę, nie powinnam mamę martwić. — Myśląc o tem, Marylka zasnęła. A śniły jej się widać przyjemne rzeczy, bo, gdy rano otworzyła oczy, ze zdziwieniem zawołała.

— Już dzień?

— Już, już, Maryleiu — mówi mama, która wstawiała zawsze bardzo wczesnie. — Wypałaś się Marylko?

— Doskonale!

— To trzeba zaraz wstawać.

— Jeszcze trochę poleżę, mamusiu, dziś tak zimno...

— Nie, dziecko moje wcale nie zimno, słońce świeci.

— Ja muszę być grzeczną i posłuszną, powtarza sobie znów Marylka, i wyskakuje z łóżka wprost na kolana mamy.

— Jak ja mamusię kocham.

— A kiedy mnie martwisz.

Marylka nic nie mówi, tylko się uśmiecha. Mamusia przecież nie wie, że ona teraz nigdy mamy nie zasmuci, ale ona nic nie powie. Niech mama sama zgadnie.

— No, ubieraj się, Maryleiu, bo zimno.

— Nie, mamusiu, już wcale nie zimno. — Marylka prędko kładzie ubranie i siada do śniadania. Bez skrzywienia wypija szklankę mleka, które jakoś nie takie dziś złe, jak zwykle.

GOŁĄBEK BOŻENNY.

(Dalszy ciąg)

— A czy byliście dobrodzieje nad tem morzem w Palestynie co to żadne stworzenie w niem żyć niezdola, więc go też Martwem zowią, ma się ono znajdować w miejscu dawnej Sodomy i Gomory; czy widzieliście rzekę Jordan, której wodą chrzczył Jan św.? — pytał z wielkiem zaciekawieniem Stefan.

— Byliśmy i tam, moje dziecko, byliśmy wszędzie w tej Ziemi Świętej.

— A czy Palestyna jest jeszcze tak bogatą krainą, czy rodzą się tam jeszcze tak piękne owoce, jak za czasów kiedy Jozue przyprowadził Izraelitów z puszczy? — badał dalej chłopiec.

— Nie widziałem ja tam bogactwa wielkiego, podobno ziemia zaniedbana przez Turków nie wiele wydaje, a słońce dopieka straszliwie i wypala nawet trawę, gdzie oliwkowe lasy nie dają cieniu.

— Ale o Jeruzolimie, o samym Grobie Chrystusa opowiedzcie mi z łaski swojej panowie — prosiła pani Zalitowska — toż dla nas chrześcijan jest to najświętsze miejsce na ziemi.

— Sama Jeruzolima, leżąca u stów Syonu na małych wzgórzach, musiała dawniej o wiele świetniej wyglądać — mówił pielgrzym — boć po wiele razy była burzoną przez pogan i dziś jest tam dużo meczetów, czyli świątyń mahometańskich. Nieco dalej za miastem rozkłada się dopiero chrześcijańska dzielnica z licznymi klasztorami i kościołami. Ale najsilniejsze wzruszenie ogarnia serce

pielgrzymka, gdy zbliża się do kościoła, chroniącego w swych murach święte miejsce grobu Pańskiego, który znajduje się niby w pieczarze wyłożonej białym marmurem. Nie każdemu wszakże zejść tam na dół wolno, ino się modlić zdaleka.

— Czegóżbym nie uczyniła — zawołała pani Zalitowska — aby moje niegodne oczy te święte miejsca kiedyś oglądać mogły, a dusza otrzymała szczególne łaski Boga! Boć cudów tam podobno dzieje się nie mało, i największy grzesznik znajdzie tam całkowite odpuszczenie swych win!...

Podróżni spuścili głowy, widno przejęci nabożnemi myślami, a gospodyni domu spostrzegła się dopiero, że nie należy dla własnej przyjemności utrudzać opowiadaniem tak bardzo znużonych drogą pielgrzymów. Poleciała też zaraz Stefanowi, by ich odprowadził do gościnnej izby, w której świeże posłanie przygotowała już Ludmiła.

Obadwaj dziękowali za gościnę, żegnając się z panią Zalitowską, gdyż równo z pierwszym brzaskiem dnia następnego, chcieli już wyruszyć w drogę, w której Stefan miał im służyć za przewodnika.

— A pamiętaj chłopcze — upominała wdowa, żegnając go krzyżem świętym — bądź uważny i roztropny, byś czasem błędnej nie wybrał ścieżki.

— Niech droga pani będzie spokojną — upewniał Stefan.

Gołabek Bożenny.

Nazajutrz słońce już zeszło z południa, gdy matka z córką i starą Grzesiową, składając gotowe motki cienkiej przędzy, rozmawiały o nadzwyczajnych gościach, którzy dnia wczorajszego nawiedzili Kalinówkę.

— Choć trud niemały taka pielgrzymka za morza, lecz błogo być musi chrześcijaninowi, gdy się zbliży do tak świętych miejsc — mówiła pani Zalitowska.

— A no pewno, pewno — potwierdziła Grzesiowa — i nie raz dawniej, gdy mi siła miała więcej, marzyłam o tem dla siebie, jako o pewnem zbawieniu duszy. Ino coś mi się nie widzi, żeby ci wczorajsi pielgrzymi prawdziwie nabożnymi byli ludźmi.

— Oho, już Grzesiowa znowu coś złego upatrzyła! A może nie dość ładnie mówili? — śmiała się Ludmiła.

— Mówili, jak mówili! Widzi pauienka, gadać to się byle kto nauczy, czy ma Boga czy dyabła w sercu. Mnie też lata nauczyły, nie tyle słuchać co mi obcy opowiada, a uważniej się mu przypatrzeć!...

— No, widzi Grzesiowa, przecież oni w tak dalekiej drodze, którą jeszcze pieszo odbywają, nie mogli się wystroić!...

— Nie na strój ja też patrzałam, Boże broń! Boć nie suknia zdobi człowieka. Ino im w twarz a w oczy zaglądałam, bo to w oczach zawsze wyczytasz, co się tam w głębi kryje. I uczciwy człowiek nie lęka się też patrzeć przed siebie. A czy pani uważała, że oni ciągle pochylone trzymali głowy, a jak ukradkiem spojrzeli, to aż mię ciarki przeszły, taki ich wzrok był jakiś dziki, taki niemili!...

— Widziałam i ja to, moja Grzesiowa i zrazu jakoś

niedowierzałam, alem sobie potem tłumaczyła, że się nie godzi posądzać o coś złego ludzi, którzy wracają z tak nabożnej pielgrzymki

— Toż i ja tak sobie mówię, a jednak widzi pani, całej nocy spać nie mogłam, aż też już w końcu na posłaniu siadłam, a koronki i modlitwy do Opatrzności Boskiej i za dusze zmarłych odmawiałam.

— Ja znów teraz ciągle się lękam o naszego Stefana. Pokochałam chłopca jak własnego syna. Żeby mu się co złego nie przytrafiło! Na trzęsawiskach o zgubę nie trudno. Dnie teraz krótkie; wcześniej jak wieczorem wrócić nie zdąży!...

— Niech się mateczka próżno nie trapi, Stefan roztropny, da sobie radę z Bożą pomocą.

Ledwie tych słów domawiała Ludmiła, gdy drzwi pokoju otwarły się nagle i na progu stanął zdyszany i z twarzą dziwnie bladą młody jej przyjaciel.

— A toś mię przestraszył, mój chłopcze — zawołała pani Zalitowska. — Nie spodziewałam się tak wcześniej twego powrotu. — Ale — dodała, spojrzawszy uważniej na przybyłego — co ci jest, cóżeś tak zmieniony?...

Biegłem z całych sił, bo wielkie grozi nieszczęście!...

— Co mówisz! Pielgrzymom tam w bagnach!...

— Nie, nie! Oni już po drugiej stronie. Ale to tajemnica!...

— Mów śmiało, niema nikogo w sąsiedniej izbie, a przed Grzesiową wiesz, że niema potrzeby z niczem się ukrywać.

— Sam nie wiem od czego zacząć. O, bo to straszne. Widzi droga pani ci ludzie to nie żadni pielgrzymi, to opryski, złodzieje, to przywódcy bandy cygańskiej!...

— O Boże, toż ja mówiłam, że im źle z oczu patrzało — jęknęła stara kobieta. Opatrzność czuwała nad nami, że nas tu wszystkich nie pozabijali.

— Na naszą chudobę nie warto im było się targnąć, oni za bogatym gonią łupem — odrzekł Stefan.

— Dziecko ty moje — tłumaczyła wdowa, z kądze ci to do głowy przyszło. Tacy spokojni, pobożni ludzie!

(d. c. n.)

PYTANIE.

Jakim czynem uwiecznił Otton III-ci cesarz niemiecki swoje przybycie do Gniezna w roku 1000?

SZARADA.

Ułożył Aleksander W.

*Pierwsze miano rzeki, która jest niełada
Z Alp początek bierze i do morza wpada,
Zbiór znów słonej wody będzie drugie, trzecie.
Wszystko zaś krainą jest żyzną na świecie,
I w dawnych naszych dziejach często wspominaną,
Gdyż przez Bolesławów do holdu zmuszaną.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Aleksander W.

Ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery złożą nazwę miasta nad Wisłą.

Znaczenie wyrazów: 1) Gatunek gadu. 2) Broń palna. 3) Zwierzę z rzędu dwukopytnych, żyjące nad wodą. 4) Historyk z XV w. 5) Jezioro w Ameryce pół. 6) Nauka o liczbach. 7) Ptak z rzędu szcudłowatych. 8) Bajkopisarz starożytny. 9) Postać biblijna. 10) Wyspa duńska na Bałtyku. Sylaby: Ar — bis — be — dłu — dra — dya — e — gosz — ka — ka — i — lan — la — ma — ma — no — man — ma — on — so — sa — ta — tu — te — ty — re — ro — rio — ze — zop — zec.

ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

Ułożył Słoń z Nubii.

W kwadracie o dziewięciu przedziałkach, 48 groszniaków rozłożyć w ten sposób, zostawiając środkowy kwadracik pusty, ażeby przez dodawanie na krzyż, wypadła liczba 18, pionowo zaś i poziomo 21. Ile zatem groszy wypada na cztery narożne, a ile na pozostałe kwadraciki?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go

Szarady: O — czy.

Arytmogryfu:

S
N e r
B a w o ł
K r z e s ł o
K u k u r y d z a
K r z y ż a k
D y n i a
G a d
D
N u r
M u c h a
B o c h n i a
W i e w i ó r k a
P i l ũ o ś ć
M y s z y
S k i
a

Zagadki: S o s.

Skrzynka do listów.

Proście **Wichury** uczynimy zadość, tymczasem witamy cię miła Wichuro jako nową naszą przyjaciółkę i stałą, zapewne korespondentkę. Łamigłówniki starannie obmyślane ukażą się w druku, skoro przyjdzie na nie kolej.

Niewątpliwie **Irenka J.** otrzymała już życzone numera dodatku.

Marylce Z. dziękujemy za tak skrętnie zbierane gałganki dla zakładu paralityków, dziękujemy także **A. J.** za bluzkę i bieliznę dla biednego ucznia.

Liścikowi **Pliszki**, ucieszyłam się szczerze, boć jako ptaszki z jednej rodziny „śpiewających”, nie powinniśmy zostawać sobie obcymi, a tym mniej zapominać o sobie. Zdaje mi się, że tak do brych panienek, jak **Ola** w powiastce pod tytułem „Dwie kolendy” musi być więcej, skoro nie ty sama znalazłaś między swemi znajomymi pewne do niej podobieństwo. Nauka wspólna ma rzeczywiście dużo powabu, przedewszystkiem zaś jest bodźcem do gorliwszej pilności, aby nie dać się wyprzedzić kolegom. Redakcyja wyszuka odpowiednią książeczkę w miejsce oznaczonego premium i wyśle takową zapewne niedługo.

Witam poważnego **Ola gimnazistę**, życząc w szkołach powodzenia. Trudności napotymane w kaligrafii, myślę, iż przy staraniu usunięte zostaną.

Trzyletnią Marysię, która lubi słuchać, jak siostrzyczka jej czyta **Wieczory**, całuję w rumianą buzię.

Jeżeli **Jadwinia** już zaczyna się uczyć, to zapewne i liściki w krótkim czasie sama pisywać będzie, bo jak we wszystkim, tak i tu początek jest najtrudniejszy.

Staranny liścik **Zorusia M.**, sprawił mi rzeczywistą przyjemność, wzamian też chętnie prosiłam Redakcyę o wysłanie żądanych numerów. Zachodzi tu wszakże kwestya, że Redakcyja wysłała od samego początku zeszłego roku „**Wieczory** pod wskazanym pierwotnie adresem, do **Jabłonki** pod **Kleczewem**. Niech więc **Zorus** postara się dowiedzieć, czyby takowe nie mógł stamtąd odebrać, szkoda bowiem, aby zaginęły, gdyż u nas są już zupełnie wyczerpane. Brakujący z tego roku numer wysłano.

Helence Sz. Dziękuję za dowód pamięci i zapewniam, że jeżeli jej moje listy tak wielką sprawiają radość, to z równą przyjemnością i ja odbieram jej korespondencyę, z której się dowiaduję, jak pilną jest w naukach, i że dobrem się cieszy zdrowiem.

Szczęsniej z P., w odpowiedzi na uczynione pytanie, wskazujemy księgarnie: p. **Arcta**, **Nowy Świat**, **Gebethnera**, **Paprockiego**, jako wydawców wielu zajmujących książek dla młodzieży, lecz i w innych księgarniach znaleźć ich można wiele, trzeba tylko umieć wybrać odpowiednie do wieku. Myśl zbierania domowej biblioteczki podoba mi się bardzo. **Braciszkom** przesyłam pozdrowienie.

Ładnie napisany liścik **Modrookiej Sarenki** zyskał jej moją przyjaźń od razu, i cieszę się naprzód obietnicą odbierania takich liścików jaknajczęściej. Pseudonym twój podoba mi się bardzo, zachowaj go też, gdyż dotychczas jesteś jedyną tylko **Sarenką** wśród naszych korespondentów. Jakże to dobrze, że umiesz połączyć pożyteczność nauki z przyjemnością zabawy. Początek dodatku powieściowego Redakcyja wyśle. Proszę nazywaj mnie zawsze bez ceremonii i tytułów, tak jak się odzywasz do swojej miłej przyjaciółki, o której mi piszesz.

Mała Polka z P. widocznie ma bardzo poczciwe serduszek, skoro ją tak rozczulił smutny los młodych rozbitków w powieści „**Juraś i Anielka**”, dobrze więc, że „**Niedźwiedź**” i „**Na Polance**” weselszej są treści. Całoroczni pranumeratorzy, tak jak było ogłoszone w prospekcie, za nadesłaniem 20 kop. na przesyłkę pocztową, odebrać mogą jedną z wymienionych tam powieści. Rozwiązanie rebusu dobre.

Łamigłówniki, szarady i rebusiki **Smoka Wawelskiego**, **Pogromcy**, **Giermka**, **Kadłubka**, **Kolibra** i **Marylki**, Redakcyja odebrała i z kolei po przejrzeniu do druku poda.

Dobre rozwiązania nadesłali: **Słoń z Nubii**, **Wiesniaczka**, **Kadłubek**, **Ptaszę polskie**, **Niunia Z.**, **Karol D.**, **Zygmunt** i **Staś R.**

Jaskółka